

Rozdział II: Ponyville

Sojusz Systemów Ziemi — nadrzędna struktura rządowa reprezentująca interesy rasy kucyków ziemnych. Sojusz kieruje administracją i obroną wszystkich należących do nich kolonii oraz stacji kosmicznych znajdujących się poza systemem słonecznym Ziemi, ich stołecznej planety. Od czasu zakończenia Rebelii Pegazów (rok 407 PPL) Sojusz posiada także swojego reprezentanta w Radzie Cytadeli, podobnie jak dwie pozostałe rasy kucyków.

— Galaktyczny Kodeks Cytadeli, wpis #006-004-1

Obudziłam się z westchnieniem, otwierając oczy. Czułam, że leżę na czymś miękkim oraz, ku mojemu zdziwieniu, byłam w jednym kawałku. Nie odczuwałam za to bólu, co samo w sobie było dość niepokojące. Obraz przede mną powoli nabierał ostrości, a pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłam, była twarz pochylonego nade mną czerwonego ogiera z kozią bródką i mdląco słodkim uśmiechem na twarzy.

— Cholera, trafiłam do piekła — wymamrotałam, nadal zdezorientowana.

Gdzieś z boku dobiegł mnie głos należący do kłaczy.

— Nie. Choć niewiele brakowało.

Czyżbym jednak nie była martwa? Spróbowałam przekręcić głowę w kierunku, z którego dochodził głos, jednakże okazało się to ponad moje siły.

— Och, maleńka, jesteś prawdziwą szczęściarą — odezwał się czerwony kuc ziemny. Jego głos był równie przesłodzony, co jego uśmieszek. — Twoja urocza blond przyjaciółka wyciągnęła cię stamtąd w ostatniej chwili. Jeszcze chwilka i puf! Wyparowałabyś razem z całym waszym obozem...

— Wystarczy, doktorze — odezwał się ponownie żeński głos. Usłyszałam, jak jego właścicielka podchodzi bliżej, stając u boku łóżka, na którym, jak udało mi się domyślić, leżałam.

— Przyjaciółka... Glass? Gdzie ona... Jak...

— Później. Odpoczywaj — powiedział stanowczo żeński głos.

Próbowałam protestować, pytać, o co jej chodzi i co stało się z Looking Glass. Zdołałam jednak wydać z siebie tylko stłumiony jęk, zanim znowu ogarnęła mnie ciemność.

Nie wiedziałam, ile czasu byłam nieprzytomna, ale kiedy obudziłam się ponownie, czułam się znacznie lepiej. Niemal bez wysiłku usiadłam na łóżku, które otoczone było najeżoną różnobarwnymi klejnotami, techno-magiczną aparaturą medyczną, i rozejrzałam się po pomieszczeniu, w którym się znajdowałam. Wyglądało na dość ciasne, mieściły się tam jeszcze tylko dwa łóżka podobne do mojego, kilka przeszklonych szafek z lekami i przyrządami medycznymi oraz doświadczone przez los metalowe biurko z samotnym terminalem komputerowym. Na ścianie obok biurka ktoś powiesił zeszłoroczny kalendarz z „Playcolta” ze zdjęciem przedstawiającym lubieżnie uśmiechniętą młodą klacz z wyzywającym makijażem i bezwstydnie wypiętym, odzianym w koronkowe stringi zadem.

Skrzywiłam się z niesmakiem.

Drzwi po drugiej stronie ambulatorium otworzyły się ze szczękiem, ukazując tego samego czerwonego kuca z kozią bródką i wprost kapiącą od brylantyny, przylizaną brązową grzywą.

— Ach, już wstałaś! Doskonale — odezwał się na mój widok. Odziany był w biały lekarski kitel narzucony na coś, co wyglądało jak mundur.

— Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ktoś mógł podnieść kopyto na tak uroczą młodą damę — westchnął dramatycznie, podchodząc do mnie. — Dwanaście złamanych żeber, wstrząśnienie mózgu z pęknięciem czaszki, rozległe obrażenia organów wewnętrznych... Całe szczęście, że was znaleźliśmy, bo byłoby z tobą krucho, kochanie. Gdyby nie nasz magiczny auto-doktor... Cudowna maszyna, szast-prast, i już byłaś jak nowa! Oczywiście, na nic by się nie zdał, gdyby obsługiwał ją ktoś inny niż ten oto skromny eskulap. — Przyłożył kopyto do piersi, ze sztuczną skromnością opuszczając wzrok.

Zamrugałam, nie bardzo wiedząc, jak na to odpowiedzieć.

— Ale gdzie są moje maniery! — kontynuował, wyszczerzając zęby w łobuzerskim uśmiechu. — Jestem Doktor Sweetheart, oficer medyczny na naszym wspaniałym okręcie. To właśnie ja miałem zaszczyt zajmować się twoimi ranami, panno...?

— Eee... Applecore — odparłam, odsuwając się od niego o cal lub dwa. Domyślałam się już, do kogo należał kalendarz nad biurkiem.

— Jakże czarujące imię! Idealnie pasuje do twoich złocistych oczu! Pozwolisz, moja droga, że...

Od strony drzwi dobiegło nas znaczące chrząknięcie. Kuc w kitlu urwał i spojrzał w tamtą stronę. Uczyniwszy to samo, zobaczyłam stojącego na progu postawnego, umundurowanego kuca z żółtą sierścią i krótką białą grzywą. Nie wyglądał na zadowolonego.

— Porucznik Mirror! Właśnie miałem zameldować, że pacjentka odzyskała przytomność — powiedział szybko doktor, uśmiechając się niewinnie i odsuwając się ode mnie o dwa kroki. Odetchnęłam w myślach z ulgą, szczęśliwa, że w końcu opuścił moją prywatną przestrzeń.

— Oczywiście — odparł porucznik, wcale nie wyglądając na przekonanego. — Komandor chce zobaczyć się z panną Applecore. Rozumiem, że nie ma ku temu żadnych medycznych przeciwwskazań?

Uzyskawszy od doktora Sweethearta zapewnienie, że jestem w jak najlepszym stanie, biorąc pod uwagę moje ostatnie przeżycia, żółty kuc skinął głową, abym poszła za nim, po czym, nie czekając, ruszył w głąb korytarza. Zeskoczyłam z łóżka i pokłusowałam jego śladem, zostawiając za sobą wyraźnie zawiedzionego czerwonego ogiera. Z jakiegoś powodu poczułam się niepewnie, jak uczeń złapany przez nauczyciela na wagarowaniu. Potrząsnęłam głową, starając się o tym nie myśleć, i skupiłam się na obserwowaniu mojego otoczenia.

Biorąc pod uwagę fakt, że dwóch członków kadry oficerskiej było kucami ziemnymi, oczywistym było, że znajdowałam się na okręcie wojennym należącym do Sojuszu Systemów. Nie przypominał on jednak nowoczesnych jednostek, które widywałam nieraz w filmach rekrutacyjnych Floty. Tamte miały dość przestronne, estetycznie wykończone i jasno oświetlone wnętrza, a tymczasem korytarz, którym szłam obecnie, raził ciasnotą i tonął w półmroku, przywołując na myśl dawne łodzie podwodne, o których czytałam w liceum. Ściany miały stalowoszarą barwę, a drzwi nie rozsuwały się na boki, lecz przypominały ciężkie, osadzone na zawiasach włazy. Zewsząd dochodziły mnie przytłumione odgłosy pracujących systemów, pośród których dominowało niskie, niemal niesłyszalne buczenie jakiejś maszynierii, zapewne rdzenia głównego napędu statku.

Po chwili, w trakcie której porucznik poinformował mnie, że istotnie znajduję się na statku należącym do floty Sojuszu, a konkretnie fregacie o nazwie Ponyville, doszliśmy do drzwi oznaczonych u góry emblematem przedstawiającym trzy ustawione w ukośną linię srebrne gwiazdy. Białowłose kuc uniósł kopyto, dając mi znać, żebym się zatrzymała, po czym zapukał. Uderzony właz wydał z siebie głuchy, metaliczny dźwięk.

— Wejść — dobiegł mnie przytłumiony przez metal, znajomy głos.

Porucznik otworzył drzwi i skinął głową w stronę wnętrza kajuty. Ogarnięta na powrót złymi przeczuciami przestąpiłam próg.

Pomieszczenie było niewielkie i urządzone dość spartańsko. Wyróżniał się w nim jedynie stojący na półce nad łóżkiem medal w czarnym, wyłożonym aksamitem pudełku. Na małej szafce obok dość niechlujnie pościelonego łóżka stał staroświecki gramofon, przy którym leżał niewielki stos winylowych płyt. Środek kabiny zajmowało biurko, o dziwo drewniane i całkiem ładne, za którym siedziała szara klacz. Miała może z pięć lat więcej ode mnie, z równo przyciętą nad oczami, grafitowoczną grzywą, w której wyraźnie odcinało się połyskliwe srebrne pasemko, zaczynające się nad lewą brwią.

Wzdrygnęłam się, słysząc szcęk zamykających się za mną drzwi. Szary kucyk wskazał kopytem na leżącą na podłodze przed biurkiem sfatygowaną poduszkę.

— Siadaj — powiedziała. Miała czysty, mocny głos kucyka przyzwyczajonego do wydawania rozkazów. Rozkazów, które, jak czułam, wykonywano szybko i bez szemrania. To właśnie ona, zdałam sobie sprawę, była w ambulatorium podczas mojego chwilowego przebudzenia. — Jestem komandor Star Shimmer, obecnie pełniąca obowiązki kapitana tego okrętu. Muszę zadać ci kilka pytań.

— Orù? — zapytała Komandor Shimmer, kiedy skończyłam opowiadać, co zaszło na E-1729Y, patrząc na mnie badawczo. Jej oczy, identycznego koloru jak srebrne pasemko w jej grzywie, w przyciemnionym świetle kajuty wydawały się lśnić jak zimna, twarda stal.

Skinęłam głową, wzdrygając się lekko na wspomnienie owych kucykokształtnych maszyn, które widziałam w wykopie. Moja rozmówczyni zmarszczyła brew.

— O ile wiem, jeszcze nigdy Orù nie zapuściły się tak daleko od Ogona. E-1729Y znajduje się prawie na drugim końcu galaktyki – powiedziała.

Widać było, że ani trochę się jej to nie podobało, ale nie można było się jej dziwić. Orù pozostawały prawdziwym utrapieniem obszaru wokół tak zwanego Ogona Luny, rozległej mgławicy na odległych rubieżach galaktyki. Z tego, co czytałam, owe techno-magiczne konstrukty posiadające szczątkową, lub tak zwaną „wirtualną”, inteligencję stworzone zostały przez zebry nieco ponad 160 lat temu. Jako że z założenia miały wykonywać monotonne lub niebezpieczne zadania, takie jak prace budowlane, pojedyncze Orù obdarzono zdolnością zdalnego łączenia się ze sobą nawzajem w rozległe sieci neuronowe, pozwalające na lepszą koordynację pracy. Ich twórcy jednak nie przewidzieli, że owa zdolność umożliwi im zwiększenie poziomu ich kolektywnej inteligencji. Każda kolejna jednostka podłączona do sieci odrobinę ją zwiększała, aż w końcu około 150 lat temu duże grupy Orù na kilku koloniach należących do zebra zaczęły uzyskiwać świadomość. Zebry spanikowały i spróbowały je wyłączyć. Orù uznały to za akt agresji i zaczęły się bronić.

Efektem była trwająca cztery miesiące wojna, w wyniku której zebry utraciły trzy planety położone w Ogonie Luny. Udało się im utrzymać swoje najważniejsze kolonie, jednakże walki pochłonęły wiele ofiar, a ich gospodarka, w ogromnym stopniu zależna już od darmowej pracy Orù, wpadła w głęboką recesję.

Od tamtej pory Orù prowadziły ciągłą wojnę podjazdową z otaczającymi mgławicę koloniami, przeprowadzając szybkie, bezlitosne ataki na samotne statki i odizolowane stacje kosmiczne. Wielu specjalistów spekulowało, że ukryte w kosmicznym obłoku maszyny zbierają siły, przygotowując się do otwartej wojny z resztą galaktyki.

A więc tak, ich obecność tak daleko od ich siedzib była więcej niż niepokojąca.

— Nie... — zająknęłam się. — Nie wiem, co je tu sprowadziło... poza artefaktem, oczywiście. Jestem za to pewna, że Serene była ich sprzymierzeńcem.

— To ona sfinansowała waszą ekspedycję?

— Z tego, co wiem, tak — odparłam. — Choć sama dowiedziałam się o tym dopiero kiedy zjawiła się w naszym obozie.

— Ach tak? — Komandor Shimmer uniosła brew.

Skinęłam głową.

— Cały zespół, włącznie z ochroną, został zatrudniony przez pośrednika. Zapewnił on nam transport i sprzęt oraz wskazał miejsce, w którym mieliśmy szukać. Wszystko odbyło się w całości drogą elektroniczną.

— I nie wzbudziło to u ciebie podejrzeń? — zapytała, wbijając we mnie wzrok. Ponownie poczułam się jak nastolatka przyłapana przez nauczyciela na paleniu papierosów w szkolnej ubikacji. Naszej rozmowy, choć, o ile się orientowałam, nie była formalnie przesłuchaniem, w żadnym razie nikt nie nazwałby przyjacielską pogawędką.

— Cóż... — Podrapałam się w tył głowy, opuszczając lekko uszy. — Było to nieco dziwne, ale byłam zbyt podekscytowana, żeby zwrócić na to uwagę. Dopiero co skończyłam studia, archeologię w Nowym Vanhoover, i nagle zaoferowano mi możliwość udania się na pierwsze prawdziwe wykopaliska w karierze...

— Teraz to nieistotne — przerwała mi. — Domyślam się, że reszta zespołu naukowego także składała się z absolwentów zaraz po obronie dyplomu?

— Tak, to prawda. Zupełnie jakby...

Umilkłam, nagle zdając sobie sprawę, że nie zadałam jeszcze nikomu jednego, bardzo ważnego pytania.

— Co... — przełknęłam, próbując pozbyć się grudy, która nagle pojawiła się w moim gardle. — Co się stało z kucykami z naszego obozu? Wiem, że Looking Glass ocalała, ale...

Słowa uwięzły mi w krtani, kiedy zobaczyłam wyraz twarzy szarego kuczka.

— Ty i Looking Glass jesteście jedynymi, które przeżyły — odparła bez ogródek. — Wszyscy pozostali zginęli, a wasz obóz został doszczętnie zniszczony.

Później wielokrotnie miałam ochotę wypomnieć jej to, w jaki sposób przekazała mi tę wiadomość, ale wtedy, w jej kajucie, nie zwracałam na to uwagi. Byłam zbyt zajęta powstrzymywaniem napływających mi do oczu łez.

Potrzebowałam kilku dobrych minut, żeby się uspokoić. Komandor Shimmer poczekała w milczeniu, dopóki nie będę w stanie jako tako się skupić, po czym opowiedziała mi, co dokładnie zaszło, kiedy byłam nieprzytomna.

Według opowieści Looking Glass, blondwłosa najemniczka była w samym środku obozu, kiedy nastąpił atak. Wraz z kilkoma innymi kucykami z oddziału ochraniającego ekspedycję próbowała stawić opór atakującym maszynom, jednakże walka szybko zmieniła się w masakerę, a ona sama została zmuszona do ucieczki. Cudem udało się jej znaleźć bezpieczną kryjówkę, w której poczekała, aż Orù odlecą. Kiedy w końcu ją opuściła, nie znalazła ani jednego żywego kuczka. Znalazła za to nie mniej niż cztery termonuklearne głowice fuzyjne z zapalnikami czasowymi, pozostawione przez odlatujących napastników.

Wiedziona przecuciem pocwałowała do wykopu, gdzie znalazła mnie, ranną i nieprzytomną. Zdołała zanieść mnie do jednego z naszych promów, szczęśliwym trafem ocalałego z bitwy, i odlecieć, zanim głowice wybuchły. Ponyville, który akurat patrolował ten region, wykrył nasz sygnał S.O.S. po około ośmiu godzinach od chwili, kiedy prom opuścił orbitę E-1729Y.

— Looking Glass podała ci osiem dawek medi-żelu, opatrzyła otwarte rany i podłączyła tlen z apteczki, którą znalazła na pokładzie promu. Tylko dlatego przeżyłaś wystarczająco długo, żeby mógł zająć się tobą nasz oficer medyczny — powiedział szary kucyk. — Kiedy dowiedzieliśmy się, co zaszło, zgodnie z procedurami natychmiast poleciliśmy w kierunku E-1729Y. W miejscu waszego obozu znaleźliśmy jedynie ziejący w stepie radioaktywny krater wielkości sporego miasta.

Wbiłam wzrok w podłogę. Odpędzając z umysłu opisany przez moją rozmówczynię obraz, zapytałam:

— Jak długo byłam nieprzytomna?

— Łącznie około dwie doby, nie licząc chwilowego przebudzenia w ambulatorium, około siedmiu godzin po tym, jak doktor skończył cię operować.

Komandor Shimmer odpowiadała spokojnie i rzeczowo i choć nie siliła się na delikatność, to jej opanowanie zaczynało udzielać się i mnie. Wciąż byłam przytłoczona tym, czego się dowiedziałam, ale czułam, że nie rozkleję się już tak, jak to miało miejsce przed kilkoma minutami.

— Czy mogę już iść? — zapytałam, wstając ostrożnie na nogi. — Muszę... Muszę znaleźć Glass. Podziękować jej za...

Szary kucyk milczał przez chwilę, po czym skinął głową.

— Możesz odejść. Usłyszałam już wszystko, co chciałam. Zapytaj porucznika Mirrora, zaprowadzi cię do niej. Może.

Podziękowałam jej szybko i wyszłam, zamykając za sobą włącznik — i muszę dodać, oddychając z ulgą. Rozglądając się po ciasnym korytarzu, spostrzegłam, że porucznik gdzieś zniknął. Stałam przez chwilę w miejscu, zastanawiając się, co zrobić. Zanim jednak zdążyłam cokolwiek wymyślić, usłyszałam głosy rozmawiających nieopodal kucyków.

Podkłusowałam kawałek korytarzem w kierunku, z którego szłam wcześniej. Kiedy minęłam zakręt, zatrzymałam się, dostrzegając właścicieli toczących rozmowę głosów.

— ... mówiłam ci już, żebyś zostawił mnie w spokoju — powiedziała ostro Looking Glass, wyraźnie zdenerwowana.

Poprawka. To nie była rozmowa. To była kłótnia.

— Nie minęły dwa dni, odkąd o włos uniknęłaś śmierci — odparł kuc, w którym natychmiast rozpoznałam Mirrora. — Nie możesz mnie winić za to, że chcę wiedzieć, jak się trzymasz.

— Trzymam się doskonale — warknęła biała klacz. — Wbij sobie raz na zawsze do głowy, że jestem wyszkolonym żołnierzem, a nie jakąś zasmarkaną klaczką z mleczarni!

Nie potrzebuję niańki, która da mi buzi w czoło i powie, że wszystko będzie dobrze. Kapejszyn?

W tym momencie Glass mnie dostrzegła, spoglądając ponad grzbietem umundurowanego ogiera. Nie dając mu czasu na odpowiedź, bezceremonialnie odepchnęła go na bok kopytem i podeszła do mnie, a jej twarz, jeszcze przed sekundą wykrzywiona w grymasie gniewu, złagodniała. Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie w milczeniu. W końcu, wiedziona nagłym impulsem, rzuciłam się jej na szyję, obejmując ją obiema przednimi nogami w pełnym emocji uścisku, który, jak miałam nadzieję, wyrażał wszystko, czego nie byłam w stanie przekazać słowami.

Kiedy po dłuższej chwili w końcu puściłam białą klacz i otarłam łzy, które na powrót napłynęły mi do oczu, wyraźnie zmieszany porucznik Mirror zostawił nas same na korytarzu, burknawszy coś do Glass, żeby odprowadziła mnie do ambulatorium. Głośnie burczenie dochodzące z mojego brzucha spowodowało jednak, że poszliśmy tam okrężną drogą. Najemniczka przez dwa dni pobytu na pokładzie Ponyville poznała dość dobrze rozkład najważniejszych pomieszczeń, dzięki czemu po kilku chwilach siedziałyśmy w mesie, posilając się prostą, ale zaskakująco smaczną żołnierską strawą.

Gwoli ścisłości przyznam, że nie byłam dotąd z Looking Glass jakoś szczególnie blisko. Podczas pobytu w obozie znałyśmy się z widzenia oraz z poprzedzającej nas reputacji – mnie jako niedoświadczonej i – zdaniem niektórych – zarozumiałej, ale pełnej entuzjazmu kierowniczkii robót, a jej jako wiecznie sprawiającej kłopoty rogatej duszy. Teraz jednak Looking Glass była jedyną znajomą twarzą na obcym okręcie i jedyną, która przeszła to, co ja (przy czym zdawała się to znosić znacznie lepiej). Nie byłyśmy w żadnym wypadku przyjaciółkami; nie byłyśmy już jednak zupełnie sobie obce.

— Jednego nie kapuję — powiedziała Glass, odstawiając kubek grejpfrutowego soku. Sądząc po jej minie, nie bardzo jej smakował. — Jeśli chodziło im o zniszczenie śladów ataku, to dlaczego tamte jebane zebroty nie zdetonowały tych głowic zdalnie, kiedy tylko znalazły się poza strefą wybuchu? Nie żeby ktoś, nawet ja, zdołał rozbroić cztery fuzyjne atomówki, zanim by wybuchły, ale jak dla mnie to tylko niepotrzebna komplikacja.

Kiwnęłam bez przekonania głową. Nie znałam się na bombach termonuklearnych, a poza tym nie bardzo miałam ochotę myśleć o wydarzeniach sprzed dwóch dni.

— Jeśli mogę zapytać... — odezwałam się po chwili, zmieniając temat. — Tam, w korytarzu, odniosłam wrażenie, że znasz się z porucznikiem Mirrorem. Spotkaliście się już kiedyś?

Glass wpatrywała się we mnie przez chwilę, zacisnąwszy usta.

— Tjaa, raz czy dwa — parsknęła pogardliwie, z poirytowaniem odwracając wzrok. — Nie przejmuj się nim, to tylko nadęty bałwan, który nie wie, co jest dla niego dobre, a sam bez przerwy próbuje pouczać innych. Teraz powinnaś martwić się kimś innym.

— Kimś innym?

— Czy kiedy rozmawiałaś z komandor Shimmer, nic nie zwróciło twojej uwagi? — odpowiedziała pytaniem.

Potałam podbródek kopytem. To by było na tyle co do nie myślenia o Serene i jej Orù.

— Nie... Poza tym, że wydaje się podchodzić do naszej sytuacji dość obojętnie, to nie zauważyłam niczego podejrzanego.

— Ach tak — odparła najemniczka, uśmiechając się krzywo. — A czy wspominała może, co zamierza z nami zrobić? Czy jesteś tu jako ofiara, świadek czy podejrzana? Czy uważasz, że uwierzyła w to, co jej powiedziałaś?

— Podejrzana? — Wytrzeszczyłam na nią oczy. — Dlaczego miałyby mi nie uwierzyć? Przecież o mało nie zginęłam! Potwierdziłam twoją wersję wydarzeń, widziała krater w miejscu naszego obozu!

— Owszem, widziała. I tak, potwierdziłaś to, co mówiłam ja. Nie znaczy to jednak, że nam uwierzyła. Skąd ma wiedzieć, że nie byliśmy zamieszane w atak? Że nie upozorowałyśmy wszystkiego, żeby odwrócić uwagę potencjalnych przedstawicieli władzy i ułatwić naszym sojusznikom ucieczkę i znalezienie kryjówki? Może zostałaś ranna tylko dlatego, że pokłóciliśmy się podczas podziału łupu? A może w ogóle nie było tam żadnego obozu i artefaktu, a my kłamiemy jak z nut?

Zaniemówiłam. To nie miało sensu. Shimmer nie mogła podejrzewać, że brałyśmy w tym wszystkim udział.

Z drugiej strony, nasza historia mogła wydać się nieprawdopodobna. Niczym w wiejskim dowcipie: artefakt Starożytnych, chmara Orù i pegaz-biotyk wchodzi do baru i...

Potrząsnęłam głową, próbując odpędzić kłębiące mi się w głowie wątpliwości.

— Wracajmy do ambulatorium — powiedziałam, odsuwając talerz i wstając od stołu. — Straciłam apetyt.

— Jak chcesz. Ale jeśli będzie tam ten napalony doktorek, to każda radzi sobie z nim sama.

Idąc wąskim korytarzem, nie mogłam przestać myśleć o tym, co powiedziała Looking Glass. Powtarzałam sobie, że niepotrzebnie się martwię. Na pewno wszystko będzie w porządku. Na pewno.

Prawda?